



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

25

— Pani Wanda, nienawykła do sprzeciwiania się jej woli, zniecierpliwiła się i powiedziała niemal surowo:

— Dość tych ceregieli, zamieszka pani u mnie dzień czy dwa i koniec, — i przechodzącemu lokajowi rozkazała: — Kuferki i kufer tej pani proszę przynieść do mego pokoju... zaraz!

— Natychmiast, jasnie pani.

Wieczorem nowoprzybyłą poddano, jak zwykle, szczegółowym oględzinom, ale skromna granałowa jej sukienka z białym kołnierzem, spiętym czerwoną kokardką, nie razila nikogo, a jej nieśmiałość, zakłopotane ruchy i miny rozbroiły sędziów. Pani Wanda zajęła się nią bardzo troskliwie, zachęcała do jedzenia, przysuwała ciastka i patere z owocami, w czym jej chętnie pomagał pan Borowiecki, i ich troje stanowiło oddzielne kółko w zwykłym towarzystwie. To wyłączone zajęcie się sobą nie podobało się innym i po pewnym czasie spytała Dorci pani Porecka:

— Na długo przyjechała pani?

To obcesowe pytanie nie podobało się pani Wandzie i powiedziała z uśmiechem:

— Dopiero przed chwilą przyjechała panna Rawicka i już pyta pani o wyjazd?

— Jest to pytanie przyjęte we wszystkich zakładach leczniczych, — wyprostowała się z godnością pani Porecka — a panna Rawicka wygląda tak świeżo, że kuracya nie powinna trwać długo.

— Istotnie, nie wiem, — odpowiedziała Dorcia nieśmiało, — to zależy od mamusi i od porady pana doktora.

— A co pani brakuje? — spytała surowo, jak zwykle, pani Łacka.

— Ja?... Mnie?... — poczerwieniała cała, — podobno osłabienie.

— Pani osłabiona? — zaśmiała się pani Porecka, — taka młoda, tak dobrze pani wygląda.

— Panna Rawicka jest zmęczona, — wmięszala się pani Wanda, — cierpi na bole głowy i zawroty... zresztą badanie jej zdrowia należy do pana doktora.

— Który numer pokoju dostała pani? — spytała Madzia uprzejmie.

— Zastałam wszystkie zajęte, a pani Jerzycka była tak dobra, że ofiarowała mi gościnę.

Wszyscy spojrzeli na panią Wandę trochę zdziwieni, pamiętano bowiem, że mąż musiał spać w innym pokoju.

— Pani cieszy się nadzwyczajnymi względami pani Jerzyckiej, — uśmiechnął się pan Jedliński, — bo podobno nerwy pani Jerzyckiej nie znoszą towarzystwa.

Pani Wanda zarumieniała się, ale milczała, nie chcąc rozwlekać tej sprawy, natomiast pan Borowiecki odpowiedział:

— Pani Jerzycka czuje się zapewne zdrowszą i panna Rawicka jest pod jej opieką.

— Istotnie, Wandziu, — odezwiała się pani Łacka, — zauważyłam od pewnego czasu twoje znaczne polepszenie. Przypisuję to górskiemu powietrzu i higienicznemu życiu.

— No i towarzystwu przyjemnemu, — chciała być złośliwą Madzia.

— Tak jest, skinęła głową pani Wanda, — towarzystwo pań jest tak dostrojone harmonijnie i przyjaźnie, że każdy czuje się swobodnym i niezależnym.

Dorcia uważała za stosowne wziąć także udział w rozmowie i odezwiała się:

— To bardzo miło znaleźć się w atmosferze życzliwej i przyjacielskiej, — i zarumieniała się, wzruszona swą odwagą.

— Tak, tak, proszę pani, — powiedział z powagą pan Maniecki, — wszyscy w tym rogu stołu, z wyjątkiem mnie jednego, żyjemy w klasycznej harmonii, wszyscy się kochamy, uwielbiamy, chwalimy, żyjemy, jak stadko aniołów stróżów jedni dla drugich. Czy to nie jest pięknie?

— No, tak... zapewne, — bąknęła.

— Niech pani nie wierzy panu Manieckiemu, — zawołała pani Mniewska, — on zawsze szydzi.

— Niechże mnie pani nie obgaduje, — oburzył się pozornie pan Maniecki, — czy my podpatrujemy, podsłuchujemy, krytykujemy jedni drugich? A że ten temu stąpi na nagniotek, jeden drugiego szarpnie, ukłuje, zadraśnie, to tylko z przyjaźni i dla zachowania równowagi moralnej.

Wszyscy się uśmiechali, a pan Jedliński rzekł z lekką ironią:

— Nie jesteśmy w szkole i nie mamy obowiązku słuchania profesora. Tu panuje wolność i każdy żyje i rozwija swą indywidualność tak, jak mu się podoba.

— Tak jest!... Bardzo słusznie! — pospieszyły z uznaniem pani Mniewska i panna Porecka.

— No, tak, tylko, że tak łatwo rezygnuje się z indywidualności za jedno spojrzenie... uśmiech... uścisk ręki pożądanej.

— Pan już zapomniał, — śmiał się pan Jedliński, — ale w tym wypadku indywidualność się podwaja.

Po kolacyi, pani Wanda, pod pozorem, że Dorcia jest zmęczona, odeszła z nią do swego pokoju w towarzystwie pana Borowieckiego.

— Ta mała Rawicka będzie im przeszkadzała, — zauważyła pani Mniewska.

— „Dames de compagnie“ są czasem bardzo wygodne, — uśmiechnęła się pani Porecka.

— Obie są swojskiego chowu i łatwo się porozumiają, — zaśmiał się pan Jedliński; — zabawną rolę w tym kojcu będzie miał pan Borowiecki.

— Zazdrość przemawia przez pana, — uśmiechnęła się pani Mniewska.

— Wcale nie. Nie przeczę, że zwiodły mnie pozory pewnego szyku i blichtru umysłowego, ale wytrzeźwiałem.

— Jednak przyznaje pan, że ona ma szyk, — dorzuciła Madzia.

— Tyle, ażeby podobać się zaściankowej szlachcie, — uśmiechnął się ironicznie; — ręczę, że dla nadania sobie tonu wśród szlagonów udawała chorą, zdenerwowaną, niby to jakieś cierpienia serca...

— Nie, panie Jedliński, pan się myli, — zarumieniała się Ryta, — pani Jerzycka była chora.

— Na kaprysy, na ambicję, na urojoną chorobę serca, — mówił porywczo, — przecież jest zupełnie zdrowa, dziś tak skwapliwie usługiwała tej małej, codziennie godzinami spaceruje, flirtując z powodzeniem ze swym towarzyszem, a chyba pani nie powie, że właśnie ten flirt ją uleczył.

— Nie przypuszczałam, że pan jesteście, — chciała Ryta powiedzieć: mściwy, ale dokończyła: — tak złośliwy.

— To nie złośliwość, ale fakt. Obserwowałem dokładnie tę panią, jej stosunek do męża, do pań, do mężczyzn; wszędzie egoizm i pragnienie zabawy kosztem cudzym.

Ryta umilkła, Jedliński dotknął bolesnej struny: i ona miała głęboki żal do pani Wandy, że bałamuci Borowieckiego dla swej chwilowej zabawy.

— O, niebezpiecznie z panem zadzierać, — uśmiechnęła się przyjaźnie pani Porecka.

— Nie, proszę pani, mam tylko tę wadę, że jestem prawdomówny i nienawidzę fałszu.

Żadna z pań nie stanęła w obronie pani Wandy, nawet kuzynka, pani Łacka, która miała żal do niej o pana Borowieckiego. I pani Wanda została potępiona. Kobiety bowiem bardzo rzadko, prawie nigdy, nie zgodzą się na sąd niewieści, ale bez opozycji przyjmą sąd męski o kobiecie, jak gdyby z góry były przekonane, że sąd ten opiera się na faktach prawdziwych i zbadanych.

Właśnie ze swej ustronnej kozetki wyszła para, pani Łotuska z Szarockim i skierowali się ku wyjściu.

— A co pan, jako prawdomówny, — zaśmiała się pani Mniewska, — powie o pani Łotuskiej?

— To kobieta prawdziwa i szczerą. Nie udaje, że męża kocha, że tęskni za nim, pragnie użyć życia, póki młodość starczy.

— O, pan zanadto wyrozumiały, — zauważyła pani Porecka.

— A przypomina sobie pani, co powiedziała ona o szczęściu? Nie mówiła o jakiejś zgodzie ducha, czynu, — drwił z pani Wandy, — ale wprost: chcę swobody i pieniędzy. To było szczerze, naturalne, ona jest sobą i nie udaje uczuć.

— Tak, to prawda, — uśmiechnęła się pani Łacka, — może zanadto nie udaje, ale to jej rzecz.

— Otóż w tem jest prawda. Ona jest sobą i powiada: chcecie mnie taką, jak widzicie, to dobrze, a nie, to nie, ani myślę stroić się w cudze piórka. I czy może kto z nas ją potępić?

Starsze panie milczały ze względu na pannę, a pannom nie wypadało zabierać głosu w tak drażliwej sprawie, tylko pani Mniewska powiedziała wesoło:

— Ja jej nie potępiam, ale za to mąż!?

— Sam sobie winien, — zdecydował pan Jedliński, — przecież taki stary i brzydki nie mógł liczyć na jej miłość, a ponieważ u nas haremów nie ma, musi znieść wszystkie następstwa.

— Panu łatwo to mówić, — odezwiała się Madzia, — ale nie chciałabym być na jej miejscu, on podobno bardzo zazdrosny.

— To dziwne, że on nie przyjeżdża, — zauważyła Ryta.

— Mówiła mi pani Łotuska, — objaśniała pani Porecka, — że zimę i wiosnę spędził gdzieś na Sycylii, a teraz zatrzymał go interes.

Do salonu wszedł doktor zakładowy i zbliżył się do siedzącego towarzystwa. Po kilku ogólnikach o pogodzie, zjeździe gości, zwrócił się do Ryty:

— Wspominała pani kiedyś, że pragnęłaby pani zobaczyć Marsa. Dziś można tę planetę